

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

13

Słowa, wymówione przez młodego lekarza, przypomniały jej, że omdlenie odkryło jej tajemnicę. Serce jej zaczęło być przyspieszonym tętnem i głębokie zmieszanie ogarnęło ją nagle.

Frank odgadł co się dzieje w jej duszy i przejęło go silne, gorące współczucie.

Chociaż nie mógł zrozumieć dotąd, dlaczego posłużyła się tem przebraniem, była w tej chwili tak pociągająca w swoim zmieszaniu i wzruszeniu, że wszelka myśl podejrziwa odbiegła daleko od niego i poddał się zupełnie urokowi, który bił od młodej dziewczyny.

— Niech się pani uspokoi, błagam — wyrzekł łagodnie. — Ma pani we mnie tylko lekarza, dla którego oddawna dyskretycja stała się świętym obowiązkiem i nie potrzebuje się pani obawiać żadnej niedelikatności z mojej strony.

Młoda kobieta podniosła głowę i spojrzenie jej zatrzymało się dłużej na twarzy Franka.

— Dziękuję panu — wyszeptała z trudem — ale jeżeli odwołuję się do pana dyskretycji, to nie czynię tego dla siebie, proszę mi wierzyć, ale dla tych, którym służyć pragnę.

— Nie pytam o pani tajemnicę — odparł Frank z prostotą.

— Wyjawię ją panu sama kiedyś, ale jeżeli waham się z tem jeszcze, mimo bardzo ważnych okoliczności, w których się znajdujemy, to jedynie dlatego, aby uchronić pana przed niebezpieczeństwami, które grożą panu.

— Nie? — zawołał Frank ze zdziwieniem.

— Pan tego zrozumieć nie może — odparła z pewnem zniecierpliwieniem.

— Czy nie zechce mi pani wyjawić na moje słowo? — prosił Frank.

— Później.

— Dlaczego nie teraz? Błagam panią, niech mi pani wytłumaczy to wszystko.

Młoda kobieta powstała z trudem z kanapy i Frank dopomógł jej, by usiadła w wygodnym fotelu przy kominku.

— Gdyby pan wiedział, panie Frank — rzekła po chwili — gdyby pan wiedział o celu, jaki sobie obrałam i o wszystkich trudnościach, spotykanych dotąd na mojej drodze! Ale mimo wszystko nie spoczne, aż postannictwo swoje doprowadzę do końca. Niech mnie pan posłucha już wiele lat upłynęło, jak pewnego dnia byłam zmuszona uciec z Paryża. Byłam wówczas bardzo młoda, dzieckiem prawie, biedna, bez żadnych środków do egzystencji, ale miałem w sobie uczucie obowiązku, który spełnić musiałam. I nic, słyzy pan, nic od tego powstrzymać mnie nie mogło.

— Ale jakiż cel?...

— Cel ważny i wielki, o którym dowie się pan wkrótce, jeżeli tylko mój biedny ojciec nie przyplacił życiem walki, którą lat tyle staczać musiał. Ja opuściłam wszystko, panie Frank. Lękałam się pobytu w Paryżu, bo wiedziałam już wtedy, że moje życie tu w grę wchodzi i że jeżeli pozostanę, zamordują mnie tak, jak zamordowali teraz mojego ojca.

— Ależ to okropne! — szepnął Frank, patrząc ze współczuciem na młodą kobietę.

— Tak, ma pan słuszność, to jest okropne. Wyjechałam więc, a raczej wyszłam z Paryża, jak nędzarka, zebrząc po drodze, śpiewając po placach publicznych, aby zarobić na kawałek chleba. Nareszcie jednego dnia, to był dzień pamiętny dla mnie, odtąd wierzyłam, że cuda dzieć się mogą na świecie, człowiek jakiś przechodzący usłyszał mnie śpiewającą. Byłam wówczas bardzo zmęczona i wynędzniała, ale w śpiew mój wkładałam całą duszę i głos miałam naprawdę niezwykły.

Człowiek ten został nim uderzony i zainteresowany. Słuchał mnie długo, a kiedy w końcu z maleńką taską w ręce obchodziłam publiczność, rzucił na nią sztukę złota. Od tego dnia los mój zmienił się zupełnie. Ten człowiek zajął się mną szczerze. Kazał mnie kształcić, sprowadził najlepszych metrów, wychowywał jak dziecko rodzone i kiedy dobiegłam lat szesnastu, zadebiutowałam po raz pierwszy w teatrach w Ameryce, gdzie, dzięki mojemu powodzeniu, zyskałam wkrótce sławę i majątek.

Po czterech latach stałam się bogatą. Opiekun mój umarł w tym czasie. Już nie byłam lekkim dzieckiem z pierwszych lat mojej młodości. Miałam nadzieję niedługiego powrotu do Francji, do Paryża, dokąd mnie ciągnęła tęsknota za ojcem lednaze, chociaż przypuszczałam, że nieprzyjaciele moi zapomnieli o mnie, lub sądzili może, że umarłam, postanowiłam być ostrożna i nie obudzić ich uwagi. W tym celu zdecydowałam się na zmianę nazwiska i przebranie się, pod którym tak łatwo poznałby mnie nie mogli.

Takim było moje życie — panie Frank, ciągnęła dalej młoda kobieta — co zaś do celu, który jeszcze do czasu ukrywać przed panem jestem zmuszona, ważny on jest i wielki, jak panu już powiedziałam i mam nadzieję, że wkrótce zapoznać pana będę z nim mogła.

Frank z wylęzoną uwagą, nie przerywając, wysłuchiwał opowiadania młodej kobiety. Kiedy skończyła, ujął łagodnym ruchem jej rękę.

— Życie pani! to romans prawdziwy — rzekł ze wzruszeniem — i podziwiam się, z jaką pani przeszła przez wszystkie ciężkie próby, których los pani nie oszczędził.

— Szeptałam tylko swój obowiązek — odpowiedziała Fernanda z prostotą.

— Ale mogła pani nie dopiąć zamierzonego celu.

— W najgorszym razie pozostałoby mi głębokie zadowolenie, że uczyniłam wszystko, co możebne, aby zwyciężyć.

— Ale niebezpieczeństwo nie ustało jeszcze i ci, którzy zamordowali ojca, mogą być jeszcze groźni dla córki.

Na ustach Fernandy przewinął się uśmiech żalony.

— Och! Teraz — rzekła z dziwnem brzmieniem w głosie — zaczynam nabierać nadziei, panie Frank, że dochodzimy już nareszcie do celu i jeżeli wypadnie mi oddać życie dla tych, których losem się zajmuję, to oddam je z radością.

Młody doktor nie odpowiedział zaraz.

Im dłużej słuchał opowiadania młodej kobiety tem silniej dręczyły go wątpliwości, których się był już pozbył i zapytywał się niespokojnie, co prawda, a co kłamstwem było w tem wszystkim.

Fernanda zamilkła również, zatopiona w myślach.

Czy może odgadła ukryte wahania Franka i czuła się niemi urażona? Pragnęła gorąco wyjść z tej sytuacji, która im obojgu ciążyć zaczynała.

W końcu powstała nagle, jakgdyby powzięła jakieś postanowienie i pociągnęła dzwonek nerwowym ruchem.

Na to wezwanie wszedł służący.

— Jakóbie — rzekła — każ zaprzadzić do powozu.

I natychmiast pobiegła do drugiego pokoju po płaszcz szeroki, którym okryła ramiona.

— Pani wychodzi? — zapytał Frank zdziwiony jej zachowaniem.

— Będzie mi pan towarzyszył, nieprawdaż? — rzuciła żywo Fernanda.

— Ale nie wiem...

— Pańska obecność jest tam konieczną.

— Gdzie się pani chce udać?

— Do Złotej Dzielnicy — wymówiła młoda kobieta z szczególnym akcentem.

Frank poszukał kapelusza i skłonił się przed nią.

— Jedźmy więc — rzekł stanowczym tonem.

— Pana przyjaciół znajduje się już tam, o ile mi się zdaie.

— Zapewne.

— A więc pojedziemy do niego, panie Frank i w obecności mojego ojca będę mogła odkryć panu to, coś wiedzieć powinien.

Kiedy zeszli ze schodów, powóz oczekiwał już przed domem. Na rozkaz Fernandy, dany stangretowi, konie ruszyły wyciągniętym klusem.

W pół godziny byli na miejscu.

Młoda kobieta kazała stanąć w pewnej odległości, wysiadła szybko i uławszy ramię Franka, skierowała się do domku, w którym nocy poprzedniej rozmawiała z ojcem.

Złota Dzielnica, widziana w jasny dzień, miała wygląd jeszcze bardziej odstraszący i nędzny. Zdawała się być teraz zupełnie opustoszała. Poprzez rozwalone drzwi lepianki widzieć było można kilka starych kobiet i starców w łachmanach, poruszających się leniwo w grząskiem błocie, zalegającym mieszkania.

Wzrok Franka nie zatrzymał się na tym ponurym widoku. Błł zanadto zaintrygowany, aby mógł się zająć czemkolwiek innem. Wyczuwał, że Fernanda, równie jak on, podniecona była i wzburzona.

Od wyjazdu z domu młodej kobiety zaledwie zamienili ze sobą słów parę. Zdawało się, że oboje byli pod wrażeniem jakichś nowych a silnych uczuć i ulegali wpływom jakiejś siły wyższej, której się oprzeć nie mogli.

Rozumieli, że los ich rozgrywał się w tej decydującej chwili i byli tem głęboko poruszeni i zmieszani.

Nareszcie doszli do domku ojca Andrzeja i Fernanda nagle porzuciła ramię Franka. Lopez stał na progu i ujrawszy ich, położył palec na ustach, nakazując im spokój i milczenie.

— Ojciec mój! Ojciec! — zawołała Fernanda, podbiegając do niego. Lopez w milczeniu wszedł do wnętrza lepianki i ręką wskazał starca, leżącego na sienniku. Błady był i zmieniony, leżał jak martwy, nie dając żadnej oznaki życia.

— Nie żyje! — zawołała młoda kobieta, padając na kolana przed nim.

Lopez przecząco poruszył głową.

— Nie — odpowiedział poważnym głosem — żyje, ale przyznaję, że już tracę nadzieję.

— Mój Boże! Mój Boże! — rozpaczala Fernanda.

— Rana jest głęboka i zdaje się śmiertelna.

Fernanda jednym skokiem znalazła się przy Franku i chwyciła go za rękę.

Och! Błagam pana, ratuj go! — zaskalała bezsilnie. — Ty jeden możesz to uczynić. Przez łitość, ratuj go! Niech mnie zobacz... niech mnie pozna... niech mnie chociaż pobłogosławi przed śmiercią.

Frank podszedł do starca, zbadał puls, przyłożył głowę do piersi i nie wymówił słowa.

— No więc co? — nalegała Fernanda, śledząc wyraz jego twarzy niespokojnie.

— On już jest zgubiony! — wymówił Frank smutno.

— Ale on jeszcze żyje... Oddycha jeszcze, nieprawdaż? Nie! nie, to niemożliwe! On musi być uratowany!

— Cicho! Cicho! — szepnął Frank rozkazująco.

Odsunął delikatnie młodą kobietę i usiłował unieść starca. Głębokie, ciężkie westchnienie, podobne do jęku, wyrwało się z jego piersi.

— On odzyskuje przytomność! — zawołała Fernanda z wybuchem szalonej radości.

Starzec otworzył oczy i skierował spojrzenie na młodą kobietę; spojrzenie to było szklane, bez życia.

Ale nagły widok córki wstrząsnął całym jego organizmem. Nerwowy dreszcz przebiegł jego ciałem, ramiona wyciągnęły się konwulsyjnym ruchem, a z piersi wydobyło się długie, słumione rżenie.

— Ojcie mój! To ja! To twoja córka! — szepnęła Fernanda, łkając boleśnie, wpatrzona z rozpaczą w błądą twarz starca. — Czy mnie nie poznajesz?

Na sinych wargach ojca Andrzeja zabłakał się błady uśmiech, potrząsnął lekko głową i dwie duże łzy stoczyły się po jego twarzy.

Poznał Fernandę.

— Ach! Pani! — zawołała młoda kobieta, zwracając się do Franka — on mnie poznał... płacze... Uratowany jest, prawda? Niech pan odpowie. Och! już teraz mówić nie może. To niemożliwe! Błagam pana, odpowiedz mi... Uspokój...

Frank zamierzał już coś odpowiedzieć, kiedy starzec ostatnim wysiłkiem gasnącej woli wpałtrzył się w niego przenikliwym wzrokiem.

— On! — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem — On! — i drżącą ręką wskazał Fernandzie skrzyneczkę, umieszczoną przy łóżku.

— Tam... — dodał z trudem — tam... zemsta... dla nich... kara... śmierć... Paskal... morderstwo...

Ale ten wysiłek wyczerpał resztę energii, jaka się w nim tłila, wskótce opadł bezwładnie, szepcząc imię Fernandy.

Tymczasem na gest, uczyniony przez umierającego. Lopez rzucił się ku wskazanej skrzyneczce i otworzył ją szybko. Znajdowało się tam kilka przedmiotów dosyć wielkiej wartości. Łańcuszek złoty, przy którym wisiał medalion z hrabiowska koroną, zegarek wysadzany drogiemi kamieniami, rewolwer, w końcu kilka papierów z tą samą pieczęcią hrabiowską.